Rok IV. Tarnów, dnia 17 maja 1936 r. Nr. 20

Króluj nam Chryste

Dodatek dla dzieci



My do Ciebie, jak do matki,
Pragniem tulić się Twe dziatki,
Matko, ulżyj życia trud,
Obmyj z serca winy brud...

Pod Twoją obronę...

Sala jadalna zakładu, w którym mieszkali uczniowie, rozbrzmiała o zmroku śmiechem i rozmową. Chłopcy wrócili już z nabożeństwa majowego, które odbyło się w kaplicy zakładu i teraz zajadali kolację. Beztroskie śmiechy umilkły na chwilę, gdy w drzwiach jadalni stanął ks. prefekt, a z nim jego przyjaciel, nieznany bliżej chłopcom ksiądz z obcego miasta, lecz wnet znowu wypełniły salę. Obcy ksiądz ogarnął bystrem okiem wszystkich uczniów.

— Kto jest ten chłopiec, drugi od okna? — zapytał księdza prefekta.

— Staszek, najlepszy uczeń w klasie.

— Czemu taki przygnębiony?

— Zauważyłem to i ja. Zawsze jest taki. Ale skryty i cichy, więc nie wiem...

... Późno w wieczór w tym samym dniu zapukał ktoś do drzwi księdza prefekta. Gdy ksiądz otworzył, zobaczył małą, pochyloną postać.

— Staszek? Co ty tu robisz?

— Ja do księdza prefekta. Jest nieszczęście...

— Czy w domu kto chory?

— Nie... Ja sam jestem nieszczęśliwy...

Ks. prefekt wprowadził chłopca do mieszkania i rzekł serdecznie:

— Ja wiem, Stasiu. Ty masz coś na sumieniu...

Chłopcu drgnęły usta, jak do płaczu. Ale opanował się. Zmarszczył czoło i przycisnął powiekami łzy.

— Księże prefekcie, ja od trzech lat popełniam świętokradztwa...

— Dlaczego tak robisz? — zapytał ksiądz z żalem i wyrzutem.

— Proszę mnie wysłuchać. Przed trzema laty popełniłem ciężki grzech. Wstydziłem się go powiedzieć przy spowiedzi. Mimo to poszedłem do Komunji św. razem z innymi. Odtąd byłem bardzo nieszczęśliwy. Nic mnie już nie cieszyło, wszystko wprowadzało w gniew. Przy następnej spowiedzi znowu ten grzech zataiłem. Nie powiedziałem go i przy spowiedzi po rekolekcjach. Potem już nigdy nie robiłem rachunku sumienia przed spowiedzią.

Wczoraj byłem znowu u spowiedzi. Myślałem, że w maju już się poprawię... Lecz w ostatniej chwili przeląkłem się, nie powiedziałem... Dziś byłem u Komunji świętej. Tak się bałem, że mnie Pan Bóg nagle skarze... Nie stało się nic, lecz ja już wytrzymać nie mogę. Przyszedłem do księdza prefekta...

— Dobrze, Stasiu, zrobiłeś. Chodźmy do kaplicy.

Kaplica była zupełnie pusta. Oświetlała ją tylko wieczna lampka, płonąca przed Najśw. Sakramentem. Wokoło pachniał bez, którego naręcze znosili uczniowie dla Matki Najśw.

Uklękli tuż przed ołtarzem. Ks. prefekt zaczął półgłosem:

— Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko.

— Naszemi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych... modlił się głośno Staszek, wpatrzony przez łzy w obraz M. Bożej.

Klęczał przed Jej ołtarzem, choć ksiądz prefekt wyszedł z kaplicy.

Po chwili usłyszał, że ktoś uklęknął obok niego. Poznał... To był ów obcy ksiądz, znajomy księdza prefekta. Usiadł właśnie w konfesjonale... Staszek westchnął jeszcze raz do Najśw. Matki i uklęknął przy kratkach konfesjonału...

— — — — — — — —

Potem zaprzyjaźnił się bardzo z księdzem prefektem. Raz się zwierzył:

— Dziś jestem szczęśliwy. Ale wtenczas byłem strasznie biedny. Pamiętam, jakie miałem wyrzuty sumienia... Dlatego modlę się zawsze gorąco za tych, którzy trwają w grzechach tak, jak ja dawniej.

— Módl się, Staszku, aby i oni i wszyscy ludzie **modlili się z ufnością do Najczystszego Serca Marji**, a wtenczas napewno zachowają serca czyste.

— Dobrze. O to samo modlą się w miesiącu maju rycerze i rycerki Krucjaty Eucharystycznej.

Ja sam chyba nie przestanę prosić Matkę Bożą o czyste serce. Bo przecież Ona dopomogła mi do odprawienia dobrej spowiedzi...

I ufam, że Marja mnie nie zawiedzie...

Kolega Staszka.

Pierwsze słowa po murzyńsku

Do misji afrykańskiej przybył nowy misjonarz. Witają go serdecznie wszyscy murzyni-chrześcijanie. Nowy Ojciec misjonarz uśmiecha się do nich, lecz nie mówi nic, bo ani słowa nie zna w ich języku.

Więc w pierwsze dni odwiedzali go wielcy i mali murzyni, aby nauczyć Ojca choć parę słów po murzyńsku. Ojciec postanowił skorzystać z okazji.

Właśnie zjawił się młody, wysoki murzyn. Ojciec dotknął ręką drzwi na znak, że chce wiedzieć, jak je nazywają murzyni.

— N'ka bange — odpowiedział murzyn.

Ojciec dotknął teraz klamki.

— N'ka bange — powtórzył murzyn.

Ojciec podziękował mu uśmiechem i zanotował słowa te w notesie.

Przy obiedzie pochwalił się przed Ojcem przełożonym, że już zna kilka słów murzyńskich.

— Więc powiedz nam, bracie, jak się nazywają drzwi, zapytał Ojciec przełożony.

— N'ka bange.

— A klamka?

— N'ka bange.

— No więc co ty wiesz?

— Jakto?

Ojciec przełożony zaczął się serdecznie śmiać.

— Ależ, bracie. **N'ka bange znaczy: nie wiem tego.**

To były pierwsze słowa murzyńskie, jakich nauczył się nowy Ojciec misjonarz.

Biedny, młody, chudy murzyn, który udzielał Ojcu lekcji swego języka, widział zapewne drzwi po raz pierwszy w życiu. Więc na pytanie Ojca, jak się nazywają, odrzekł: nie wiem tego.

* * *

Nasze dzieci są często podobne do owego murzyna. I one odpowiadają nieraz w szkole na zapytanie pana nauczyciela: N'ka bange, n'ka bange. Oczywiście, w naszej mowie ojczystej. *M.*

Beztroskie dzieciństwo



Na podwórzu stoi beczka z wodą. Przy tej beczce bawią się Józio i Piotruś. Beczka z wodą to jest takie małe morze, po którem malcy „jeżdżą“ okrętami. Józio jest kapitanem. Piotruś musi słuchać jego rozkazów, bo jest młodszy.

Chłopcy bardzo lubią tę zabawę w okręt i morze i bawią się tak codziennie, póki jeszcze mają czas. Bo gdy tylko trochę podrosną, pomagać będą rodzicom w pracy.

A potem na szerokie morze życia wyjadą. **Zawsze będą odważnymi „marynarzami“, kochającymi pracę, ludzi i Boga.**

Bo tak ich uczyła żyć mamusia jeszcze w beztroskiem dzieciństwie...